

MAROKO / SAHARA 2006

Niemal dokładnie rok temu, kiedy po raz pierwszy padła propozycja zorganizowania wyjazdu do Afryki północnej nawet nie przypuszczałem, że sprawy potoczą się tak szybko. Poprzednia marokańska ekipa, jej zdjęcia i fantastyczna relacja Sambora tylko podsyciły nasze apetyty. Podstawowym problemem jak zwykle były fundusze oraz zgranie w czasie urlopów uczestników, czyli mojego i Sławka vel Pindora.

Pierwsza kwestia niespodziewanie została dość szybko i szczęśliwie rozwiązana. Okazało się, że jako niesformalizowana grupa nie możemy co prawda liczyć na jakikolwiek "sponsoring zewnętrzny" jednak istnieje możliwość przyjęcia zlecenia na przeprowadzenie akcji reklamowo-marketingowej realizowanej podczas wyprawy. Złożenie pisemnej oferty oraz rozmowa z niezwykle przychylnym dla naszego pomysłu Prezesem LOTOS Jasło SA Panem Józefem Folcikiem, zaowocowała podpisaniem umowy. Długo pod znakiem zapytania stał dokładny termin wyjazdu, jednak ostatecznie w piątek 8 września po załadunku motocykli na przyczepkę, o godzinie 14.00 wyjeżdżamy z Warszawy w kierunku Algiceras. Jedynym godnym uwagi wydarzeniem na całej trasie "samochodowej" pozostaje spotkanie pod Wrocławiem z delegacją naszego forum czyli Izim, Robertem i Gretonem, którzy udzielili nam oficjalnego "błogosławieństwa".



Po niemal dwóch dobach jazdy w niedzielne przedpołudnie meldujemy się pod hotelem gdzie mamy rozładować motocykle i zostawić samochód. Zgodnie z ustaleniami czeka tam na nas Darek z Zagórza /z którego pomocy rok wcześniej korzystała poprzednia ekipa/, który i tym razem organizuje dla nas zupełnie bezpłatne miejsce na podziemnym parkingu. Wykonujemy kilka "szybkich ruchów" i o godzinie 16.00 siedzimy już przy zabranym z auta Żywcu na pokładzie promu do Ceuty.

Dooobra!!!

Tyle przymuszania tytułem być może nazbyt długiego wstępu, po którym przychodzi czas na kilka słów prawdy o całej tej "wycieczce".

Założenia są proste, powiem więcej, wręcz banalne.

Wystarczy, że zaliczymy trzy/cztery trasy Scotta, wjedziemy Africami na Erg Chebi, złatamy Hammade, odwiedzimy Saharę Zachodnią, złapiemy jednego Makaka w lasach cedrowych, doprowadzimy do orgazmu wielbłądzice, wypijemy cały dostępny alkohol w Mhamid, podjedziemy pod Tubkal, zjemy jakieś miejscowe paskudztwo na Placu Dżemaa el-Fna w Marakeszu, spalimy "ziółka" z miejscowymi w górach Rif, wykapiemy nasze Afryczki w Atlantyku i wyjazd ogólnie rzecz biorąc uznamy za udany. Jeżeli nie zaśniecie w połowie, to na końcu relacji sami ocenicie czy wszystko co zaplanowaliśmy udało nam się zrealizować.

Ceute przelatujemy bez oglądania się za siebie i jedynie tankowanie bezcłowej wachy do baków i dziesięcio-litrowych, dodatkowych kanistrów zatrzymuje nas na kilkadziesiąt sekund. Przekroczenie Granicy z Marokiem, która znajduje się tuż za miastem nie sprawia nam specjalnych trudności, jednak zawdzięczamy to nie tyle własnej operatywności, co banknotowi o nominale pięciu euro, za który to miejscowy "przewodnik" czyli spec od robienia giaurów w ch... pomaga nam załatwić wszystkie kwitki, pieczętki i inne wymagane przez pograniczników pierdoły. Dzięki tej inwestycji po pół godzinie lecimy już nowym asfaltem do Tetouanu /tetuan/, gdzie mamy zamiar spędzić pierwszą noc na czarnym lądzie.

Szybko odnajdujemy hotel Dalab, którego namiary na Gps-a otrzymałem od Mio, zostawiamy motory z bagażami na hotelowym "parkingu" /wnęka pomiędzy budynkami / bierzemy prysznic w łazience, która jest mocno egzotyczna i aż "pachnie" Afryką, po czym

Iecimy na miasto zobaczyć Medynę, czyli coś jak nasze stare miasto i poszukać czegoś do jedzenia.

Słoneczny i rześki poranek sprzyja szybkim przelotom, więc kolejnego dnia już o 7.00 wyjeżdżamy z Tetouanu w kierunku Chefchaouene /szewszawan/ i Ouezzane /wazan/. Asfalty są niezmiernie nudne a droga P28 na Ouezzan zbyt szeroka, więc już w okolicach El Had skręcamy bezpośrednio na południe w odcinek off road-owy. Kierujemy się górskim szlakiem na Mokrisset, El Mraj, Zoumi, Arhil, Teroual a następnie w kierunku drogi P26 prowadzącej do Fesu. Kilka kilometrów przed Teroual na szutrowo/piaszczystej drodze udaje mi się złapać pierwszą gumę, którą naprawiamy w niespełna godzinę.

W Teroual trafiamy na suk, czyli coś, co przypomina wiejski jarmark połączony z odpustem. Klimat "imprezy" jest wciągający tym bardziej, że odbywa się ona poza szlakami turystycznymi i ma w sobie wyraźny, naturalny i pierwotny pierwiastek. Nie widać tu naganiaczy ani innych cwaniaków, pseudo-przewodników, którzy towarzyszyć nam będą w niemal każdym większym mieście, a ceny są bardzo przystępne. W barze przypominającym nasz "klub rolnika" przy GS-Osiek jemy wycięty na naszych oczach z wiszącej pod sufitem półtuszy pieczony kotlet jagnięcy, po czym odmawiając zakupu "ziołek" /taki jeden bajtel oferował dzointy konfekcjonowane w pudełkach po Malboro/ walimy do Fesu.





Miasto jak miasto, duże, brudne i śmierdzące, więc po wymianie kasy w banku drogą P24 jedziemy do zjazdu w okolicach Ifrane, na częściowo off road-ową pętlę wokół Foret de Cedres, gdzie mamy zamiar zobaczyć co słyszą u naszych krewnych czyli Makaków. Zobaczyć małpę to jedno a zrobić jej przyzwoite zdjęcie to już zupełnie inna bajka. Spotykamy kilku "krewniaków" jednak chyba nas nie poznają, bo gdy tylko się zbliżamy to pokazując nam część ciała poniżej pleców znikają pośród drzew - cholerne małpy pewnie nie słyszały, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu i żadna nie chciała pozować do wspólnej fotografii.

Z okolic Azrou jedziemy jeszcze kilkadziesiąt kilometrów na południe drogą P21 i na kolejny nocleg zatrzymujemy się w wiejskiej noclegowni dla kierowców "sianobusów" /nazwa autorska ciężarówki wypakowanej po brzegi sianem/, którzy przyjeżdżają na miejscowy suk, aby swój bezcenny w tym klimacie towar zbyć kolejnym pośrednikom wiozącym go dalej na południe. Marokańskie słońce oraz żądza kolejnych wrażeń znów budzi nas kilka minut po 5.00. Wypijamy tradycyjną herbatę z kierowcami i jedziemy do Ar Rachidia /el-raszidija/ a następnie wzdłuż rzeki Ziz w kierunku Erfoudu.





W początkowych kilometrach doliny Ziz kombinujemy ze zjazdem na Jbel Aguelmous /2113 mnpm./, ale szlaki strasznie kręcą i po przejechaniu kilku kilometrów odpuszczamy zadawalając się ostatecznie pokonaniem innego odcinka "specjalnego" zakończonego w niewielkiej osadzie zaproszeniem na herbatę i posiłek przez miejscową rodzinę. Ludzie mieszkający w tym górzystym rejonie są naprawdę biedni, ale ich gościnność i szczerść jest porażająca.

Gospodarz /facet wyglądający na 55-60 lat w rzeczywistości pewnie niewiele starszy ode mnie/ oprowadził nas po całej "posiadłości" składającej się z glinianego domu, małego podwórka i kilku arów działki zapewniającej utrzymanie całej jego rodziny. W korytarzu budynku mieszkalnego składającego się z pomieszczenia kuchennego /bez jakiegokolwiek wyposażenia/, pokoju "gościnnego", w którym na podłodze stał wyłącznie telewizor, wspólnej sypialni wyposażonej w słomiane maty i koce oraz "pokoju" dla kozy, osła i jednej krowy, znajdowała się studnia z kołowrotem, której posiadanie jak zrozumieliśmy było powodem szczególnej dumy całej rodziny.

Podany przez naprawdę urodziwe córki oraz gospodynię posiłek składał się jak zwykle z herbaty miętowej parzonej w specyficzny sposób, domowego chleba, który jest czymś pomiędzy naszym podpłomykiem a arabską pitą oraz tłoczonej domowym sposobem oliwy, w której kawałki urwanego chleba należy moczyć.





Po posiłku i krótkiej "sesji fotograficznej" ponownie ruszamy na Erfoud. Droga jest niezła, mijamy kolejne wypakowane sianem ciężarówki oraz kilka grup francuskich motocyklistów.

Chłopaki jadą głównie na turystykach typu FJR, PanEuropa czy BMW i widać, że ich ostatecznym celem jest Rissani, gdzie zresztą pod hotelem spotykamy ich dwa dni później. Przed Erfoudem niebo nagle dziwnie ciemnieje i po chwili zaczyna padać. Jedziemy kilka kilometrów, ale widząc, że z nieba goście "leją już wiadrami" a na drodze robi się naprawdę niebezpiecznie /asfalt jakiego używają marokańscy drogowcy po zmoczeniu staje się istnym lodowiskiem/ co unaocznia nam kolejny mijany wypadek.

Zatrzymujemy się w przydrożnym gaju palmowym postanawiając przeczekać ulewę. Kilkanaście minut i wszystko cichnie równie nagle jak się zaczęło. Siadamy na motocykle i ruszamy dalej, jednak już po kilkuset metrach stwierdzamy, że na drodze nastąpiły drastyczne zmiany warunków. Pomimo wyjścia zza chmur intensywnego słońca, asfalt miejscami jest zupełnie zalany wodą i to taką, która tworzy rwące potoki. Mijamy stojące na poboczu samochody nie rozumiejąc za bardzo całej sytuacji, która jak nam się wydaje jest już przecież wyjaśniona, deszcz przestał padać a droga, choć miejscami ciężka, generalnie jest przejezdna.

Po kilku zakrętach sprawa staje się jasna, przed nami przez drogę płynie najprawdziwsza rzeka niosąca spore ilości błota i kamieni. Zalany odcinek ma może ze 100-150 metrów szerokości a po obu jego stronach stoi sznur samochodów. Mijamy auta i podjeżdżamy

nad sam brzeg nowo powstałej rzeki. Nie jestem hydrologiem, ale sprawa z bliska wydaje się być jasna, ktoś zapomniał w tym miejscu o wybudowaniu solidnego mostu /jak się później przekonaliśmy w całym południowym Maroku i Saharze Zachodniej nie ma mostów, a sprawa ewentualnych okresowych rzek rozwiązana przez drogowców została poprzez miejscowe obniżenie drogi, które to ma umożliwić swobodny i szybki przepływ wody podczas opadów - dobrze, że nasi na to nie wpadli, bo byśmy czekali z przejazdem aż nam Wisła, Odra czy Pilica wyschnie/.

Kilka minut stoimy, ale w końcu pustynia czeka, olewam okrzyki przerażenia i uwagi co roztropniejszych tubylców kierując motocykl w środek przewalającej się przez drogę wody. Pierwsze 40-50 metrów idzie nieźle, ale nagle trafiam na mocniejszy nurt i okazuje się, że już nie jadę a płynę w kierunku urwiska. Gaszę silnik i kładę motor na bok starając się nie zostać przygnieciony. Niby wszystko "spoko", moto już nie płynie, ja stoję obok na nogach i nawet usiłuję ponownie postawić Afri na koła, tylko dlaczego ludzie coś do mnie krzyczą??? Nie bardzo rozumiem, patrzę na Pindora i nagle doznaje olśnienia, gdzie jest moja torba na bak??? Tam przecież były wszystkie dokumenty, kasa, telefon i mapy!!! Już wiem dlaczego postawiona z powrotem na koła Africa wydaje mi się niekompletna, brakuje tankbaga!!! Patrzę w kierunku gdzie woda z hukiem spada z drogi ponownie w swoje okresowe koryto i dostrzegam wypływającą co kilka sekund z pod utworzonego wodospadu czarną torbę, jest!!! Wystarczy zeskoczyć z drogi w koryto rzeki i z brunatno-burej mazi wyłowić cały swój dobytek.

W zasadzie strat nie odnotowałem, Africzka pomimo całkowitego przelania się wody nad czaszą i kokpitem po kilku sekundach kręcenia zagadała /zgaszenie silnika na ułamek sekundy przed położeniem motocykla zapobiegło "łyknięciu" wody/, dokumenty, kasa i mapy wyschły, GPS okazał się naprawdę wodo i błoto odporny a telefon i tak mnie notorycznie wkurw... więc przynajmniej teraz miałem z nim raz na zawsze spokój. Africę Sławka przeprowiamy już wspólnie, tzn. Sławek jedzie przez rwący nurt podpierając się nogami a ja dodatkowo z boku ubezpieczam motocykl przytrzymując go za gmole i tylne stelaże. Człowiek uczy się na błędach, tylko dlaczego zawsze na własnych, hehehehehe. Do Erfoudu wjeżdżamy około 16.00, szybko tankujemy i skręcamy na boczną drogę off roadową przez Hammade i Erg Chebbi do Merzougi.







Trzeba się spieszyć bo czas w Maroku jest przestawiony o dwie godziny wstecz czyli w Europie jest tuż przed 19.00, a zaraz po bajce robi się przecież ciemno. W ekspresowym tempie robimy odcinek hammady wyprzedzając po drodze kilka Land Cruiserów i Devenderów a następnie wzdłuż wydm jeszcze przed zmrokiem dociągamy do Auberge Camping L'Oasis opisanej w przewodniku Pascala. Po deszczu wszystko jest nieco rozmoknięte, więc rezygnujemy z namiotu i wynajmujemy naprawdę przyjemny i stylowy pokój z łazienką. Widać błogosławieństwo chłopaków z Wrocławia miało jednak swoją moc, gdy my spokojnie spaliśmy nad Saharą otwarło się prawdziwe "piekło". Niemal całą noc lało i to lało tak jak lać potrafi chyba tylko nad pustynią.

Gdy rano wstałem, i stwierdziłem, że w pokoju mamy najprawdziwszą ropuchę to nie bardzo mogłem pojąć, w jaki sposób ten płaz, generalnie przypisany do środowisk o większej wilgotności niż ta jaka panuje nad Saharą znalazł się w takim miejscu i dopiero wystawienie głowy za okno "rozjaśniło" mi wszystko. Pustynia pływała!!! W miejscu przejścia Hammady w Erg płynęła najprawdziwsza, szeroka miejscami na dobrze ponad 100 metrów rzeka. Pomiędzy Merzougą a Taouz utworzyło się jezioro, które przelewając się przez biegnący poniżej wydm szlak i odsuniętą o kilka kilometrów na północ drogę odcięło możliwość jakiegokolwiek przejazdu.

Pakujemy motocykle, ale uczucia mamy mieszane, wydaje się, że szlak M6 będzie niedostępny, jednak spróbować trzeba. Klucząc pomiędzy rozlewiskami przebijamy się jakoś przez błoto i zupełnie rozmokniętą hammadę do Taouz, ale już kilka kilometrów dalej "jezioro" zmusza nas do odwrotu.







Aby nie tracić cennego czasu podejmujemy decyzję o jeździe do Rissani a następnie na Alnif - Nekob, skąd trasą M5 do Tinerhir. Po pokonaniu kilku brodów do Rissani rzeczywiście udaje nam się dotrzeć, ale na tym szczęścia dość, na rogatek tuż za miastem w miejscu gdzie z drogi P21 odbija się na Alnif - Nekob stoi Policja oraz Wojsko i informują, iż "rout Erfoud, Alnif ferme - Rissani Ferme".

Wynikało z tego jednoznacznie, że jesteśmy odcięci od świata i to odcięci na dobre a co najlepsze odcięci od świata na pustyni przez wodę. Wracamy do naszego miejsca ostatniego noclegu gdzie rozpakowujemy motocykle i postanawiamy polatać po wysychających już wydmach. Jazda marzenie, piaseczek idealny, pustka i cisza dokoła.





Wieczorem dowiadujemy się, iż droga na Erfoud najprawdopodobniej zostanie jutro otwarta zaś ta na Alnif będzie być może do pokonania motocyklem. Znowu wczesna pobudka, pustynia niemal wyschła, ale jezioro od strony M6 nadal stanowi przeszkodę nie do pokonania. Kierujemy się na Alnif, rogatki przejezdne a po radiowozach ani śladu, będzie dobrze, widać terasa jest już przejezdna.

Miło było, ale się szybko skończyło - kilkanaście kilometrów za Rissani droga zupełnie zdemolowana, koparka niby robi jakiś przejazd, ale jak na razie nie pokonał tego odcinka ani jeden pojazd. Dodatkowo, oprócz zniszczonej i zaniezionej kilkudziesięciocentymetrową warstwą mułu drogi, przez jej środek nadal płynie w najlepsze rzeka, rzeka błota i innego brunatnego syfu. Kombinuję jak przejechać bokiem, czy nie ma jakiegoś brodu ale po kilku minutach tracę nadzieję. Postanawiamy wczekać moment i gdy tylko będzie możliwość przejazdu obok spychacza-koparki podjąć próbę pokonania przeszkody w sposób, jaki okazał się skuteczny ostatnim razem. Idzie nieźle, Sławek mnie ubezpiecza a ja jego i po kilkunastu minutach motory mamy już po drugiej stronie.

Dobra, jeden problem to nie problem, ale co będzie jak za następne kilka-kilkanaście kilometrów znów przez drogę będzie płynąć sobie rzeka??? Pożyjemy - zobaczymy, jedziemy dalej mając nadzieję, że limit pecha tym razem wyczerpał się ostatecznie.



Jest dobrze, jeszcze koło 10.00 udaje nam się skrócić na szlak M5 w Nekob i rozpocząć "pałowanie" w kierunku Tinerhir. Szlak jest niezłe utrzymany i nie mamy problemów z jazdą jak i prowadzeniem nawigacji.

Jest kilka odcinków gdzie drogi się rozchodzą, jednak intuicja i GPS jakoś z sobą w tym dniu współpracują, widać faktycznie pech powoli nas opuszcza. W Tinerhir zatrzymujemy się na moment a następnie podbudowani błyskawicznym pokonaniem trasy M5 wpadamy na szalony pomysł przejechania jeszcze w dniu dzisiejszym doliny Todra, szlaku łączącego Todre z Dades / w tym przełęcz na 2800 mnpm / i zjechanie do Msemrir.





Pomysł poroniony, ale i my nie jesteśmy do końca normalni więc może się udać. Odcinek Todry do Tamtattouchte czyli skrętu na szlak górski z przełęczą pokonujemy w kilkadziesiąt minut, ale zaraz po zjechaniu w góry zaczynają się problemy. Podjazd na przełęcz idzie opornie, trasa kluczy i w wielu miejscach widać, że została mocno "zmodyfikowana" przez ostatnią ulewę. Kombinujemy na kilku odcinkach z przejazdami korytem rzeki, w której widać jeszcze resztki wody, ale z odnalezieniem właściwego szlaku jest coraz trudniej. Wałąc doliną rzeka rozmyła ślady, a w miejscu gdzie jeszcze kilka dni temu było pewnie widać koleiny, leżą teraz naniesione kamienie i głazy.

Okolo 17.00 po pokonaniu już najwyższego punktu trasy, gdy szlak wydawał się poprawiać a cel być coraz bliższy, napotykamy wracającego z suku w Msemrir beduina, który informuje nas, iż szlak na odcinku ostatnich kilku kilometrów jest zupełnie nieprzejezdny gdyż ulewa oberwała fragment zbocza przez który on przebiegał. No tak, biednemu zawsze wiatr w oczy. Do Msemrir mamy góra 10-12 km a do jakiegokolwiek osady w dolinie Todry pewnie z 30-35 km, a w tym najgorszy początkowy odcinek szlaku z wypłukanymi półkami skalnymi. Wracamy w wariackim tempie z dwóch podstawowych powodów, za góra dwie godziny zrobi się zupełnie ciemno a dodatkowo Sławek o 19.00 umówiony jest na telefon z żoną.

Jakoś wszystko szczęśliwie się układa i już po zapadnięciu zmroku meldujemy się na kempingu w centrum doliny Todra. Niby słońce już dawno zaszło i można powiedzieć, że przysłowie "nie chwal dnia przed zachodem ..." nie bardzo jest na miejscu to jednak jest jedynym jakie przychodzi mi w tej sytuacji do głowy. Po rozbiciu namiotu i zamówieniu

tadżinu w knajpie postanawiamy skoczyć do oddalonej o kilkaset metrów wioski na internet. Idziemy spacerkiem w klapkach opowiadając sobie dzisiejsze wrażenia, wszystko przyjemnie i laito. Kilka słów na forum i trzeba się spieszyć, bo Michał stygnie a umówiony czas podania posiłku minął już kilkanaście minut temu. Wioska ma telefon i internet, ale niestety brak jest jakiegokolwiek oświetlenia, więc idziemy po omacku. Robię jeden nierozważny krok i leżę jak długi, lewa noga niemiłosiernie boli a dziwne uczucie "pustki" poniżej kolana sugeruje złamanie.

Żeby to krew zalała, jeden moment i wszystko się skończyło, leżę i zwijam się z bólu nie bardzo wiedząc która kończyna mnie bardziej boli. Po kilkunastu sekundach do lewej nogi wraca czucie i stwierdzam, że jestem w stanie zgiąć ją w kolanie oraz ruszać palcami. Sławek pomaga mi wstać i jakoś "doczołgujemy" się na kemping. Przy świetle robimy oględziny "uszkodzeń", noga lewa w kostce na 100% skręcona - mocno puchnie, kolano prawe rozbite a skóra z dużego palca zdarta, dłoń lewa poobijana i pokaleczona, ale najważniejsze, że wszystkie kości raczej całe. Nie myśląc już o jedzeniu kładę się spać, zobaczymy, co będzie rano. W nocy ból nie daje jednak pospać, dopiero znalezione przez Sławka w worku leki przeciwbólowe pozwalają na kilka godzin "skleić powieki".

Rano samopoczucie jest zdecydowanie lepsze, robię szybką toaletę, opatruję obolałe kolano i dłoń i jakoś udaje nam się wyjechać z tego pechowego miejsca. Od strony Boumalne du Dades penetrujemy niezdojany od Msemrir kanion a następnie zjeżdżamy drogą P32 do Ouarzazate /warzazat/ gdzie zjemy śniadanie-obiad. Doliną Dra przez Agdz, Zagore i Tagounite na późne popołudnie dojeżdżamy do Mhamid, czyli ostatniej miejscowości przed biegnącą pustynią granicą Algierską.





Wynajmujemy namiot berberyjski na kempingu Hammada du Draa, piszemy ponownie kilka słów na forum i wypijamy pierwszy raz w Maroku zakupiony po zmroku Gin /miało być piwo do kolacji, ale gospodarz w ostatniej chwili zaproponował "twardszy" trunek/. Kolejny dzień i kolejny szlak, noga w sztywnym bucie niemal nie boli, więc niema co odpuszczać.

Z Mhamid wzdłuż wydm wracamy do Tagounit gdzie tankujemy na full a następnie wyłącznie na GPS-a po zupełnym bezdrożu kierujemy się do pierwszego punktu orientacyjnego na szlaku M7. Cały szlak jest nie tyle trudny, co długi, gdyż robiąc "dojazdówkę" przez Tagounite wydłużamy go z 143 km do niemal 200 km. Miejscami na szlaku ponownie widać działalność przepływającej tu dwa dni temu rzeki, która naniosiła kamieni a w kilku miejscach zupełnie go przerwała.







Przed samym Foug Zguid ponownie łapie gumę tym razem najeżdżając na kolce akacji, jednak widząc już w oddali zabudowania, ostatnie trzy/cztery kilometry przesiadamy się z Pindorem, który jako lżejszy bez uszkodzania opony dotacza się do wulkanizacji. Robimy koło, jemy szybki obiad i lecimy do Taty aby urwać czas, który na początku wyjazdu "ukradła" nam niezaplanowana ulewa.

Następny dzień to już ostre, typowo asfaltowe pałowanie na południe. Z drogi P30 odbijamy na P41 i dalej za Goulimine /guelmim/ na Tan-Tan i Tarfaye. Po obu stronach krajobraz jest podobnie monotony i tylko miejscami od zachodu urozmaica go widoczny w oddali Ocean. Kolejny dzień to równie szybki skok na Sahare Zachodnią, przejazd przez Laayounea /alajun/ i zjazd na drogę P44 do P42 a następnie powrót przez Smarę i Tan-

Tan na plaży w okolicy Sidi Ifni. Noc nad Oceanem po trzech dniach kurzu, kamieni i asfaltu przynosi ulgę. Wypijamy kolejną butelkę załatwionego ginu oraz jemy wyśmienitą rybę przyrządzoną przez miejscowego rybaka. Wybrzeże marokańskie jest piękne, wspaniałe klify, urwiska i bajkowe "tunele" robią ogromne wrażenie, jednak każdy ogólnie dostępny odcinek plaży w pobliżu większych aglomeracji jest niemiłosiernie zaśmiecony /dwa dni później w okolicach Kenitry widzieliśmy jak banda miejscowych "inteligentów" paliła na środku chyba najładniejszej plaży w Maroku /Plage des Nations/ opony - widać idiotów można znaleźć na każdej szerokości i długości geograficznej/.



Rano już bez pośpiechu kierujemy się na Tiznit a następnie Tafraoute i dalej nieopisanym w tej części przez Scotta przedłużeniem szlaku M10 z Taty na Igherm. W planie było dojechanie tylko za Taroudannt w kierunku na Marrakesz ale, że jazda szła niezwykle sprawnie postanawiamy jeszcze tego samego dnia wjechać na drogę S501, która mijając od zachodniej strony zbocza Tubkal na mapie Michelinie oznaczona jest jako "szczególnie niebezpieczna trasa górską".

Faktycznie pierwsze 100 km jest niezwykle wąskie, kręte i niemal cały czas biegnie wzdłuż urwisk i przepaści. Widoki są wspaniałe, choć na wielu odcinkach lepiej mocno trzymać kierownicę i kontrolować tor jazdy niż zajmować się ich podziwianiem.



Szarówka łapie nas w Asni, ale postanawiamy dojechać do Marakeszu gdzie mamy w planie degustację oferowanych tam specjałów kulinarnych. Jeszcze przed 22.00 siedzimy na placu Dzema el-Fna i wcinamy ślimaki, kalmary oraz jakieś inne specjały. Marrakesz w nocy i w dzień robi wrażenie, z tym jednak, że w nocy jako jedno z bardziej egzotycznych i "gorących" miast tej części Afryki - pozytywne, zaś w dzień w stosunku odwrotnie proporcjonalnym - negatywne, syf, brud i smród czyli trzy w jednym to najkrótszy opis przeciętnej ulicy w pobliżu turystycznego centrum czyli wspomnianego placu Dzema El-Fna.

Powoli pobyt w Afryce dobiega końca, ostatnią noc spędzamy ponownie nad Oceanem w okolicach Kenitry /gdzie jesteśmy świadkami opisanego powyżej "dbania o środowisko" w afrykańskim wydaniu/ by kolejnego dnia przeskoczyć autostradą do Larache /elarach/ i ponownie Tetouanu oraz Ceuty skąd promem do Europy. Hamada i Erg Chebi zdobyty, Tubka objechany, Makaki po naszej wizycie w lasach cedrowych mocno wystraszone, "monopolowy" w Mhamid i Sidi Ifni do dziś nie może wygrzebać się z manka a "ziółka" są prawnie zakazane, więc o nich i tak prawdy nie napiszemy.

Z całego ambitnego planu nie udało się zrealizować punktu dotyczącego "doprowadzenia wielbłądzicy do orgazmu", ale czy ktoś z Was wie czy parzystokopytnym dane jest przeżywanie aż takich uniesień?

Podsumowanie

Afryka nawet w tak niewielkim kawałku ma swój niepowtarzalny klimat, który z jednej strony wciąga i intryguje a z drugiej generuje stałe uczucie niepokoju. Jest nieprzewidywalna i dzika, dzika w każdym swoim calu, górskie bezdroża, pustynia czy środek miasta zaskakuje swoją odmiennością i surowością.

Wyjazd spełnił wszystkie nasze marzenia i oczekiwania. Jak kiedyś napisał Pastor "każdy ma swój prywatny Mount Everest" a ja wychowywałem się na lekturze Szklarskich czyli przygodach Tomka Wilmowskiego, które to przygody rozpoczęły się właśnie na "czarnym lądzie". Nie wiem czy Tomek byłby z nas dumny, ale bosman Nowicki pewnie tak /głównie z powodu załatwienia tej butelki Ginu koło Mhamid i Sidi Ifni/. Nasz Everest, choć przypominał bardziej marokański Tubkal to jednak został zdobyty, ale, że "apetyt rośnie w miarę ..." to zdecydowaliśmy o patriotycznej zmianie Everestu na polskie Trzy Korony. Jeden wierzchołek już mamy a teraz pora zmierzyć się z dwoma kolejnymi, czyli Syberią i Pamirem.

Kilka praktycznych uwag dla potomnych

Opłaty za autostrady oraz obwodnice większych metropolii we Francji i Hiszpanii są identyczne dla motocykla jak i samochodu z lekką przyczepką /taką, na jakiej wieźliśmy motocykle/. W sumie w obie strony opłaty drogowe na trasie Zgorzelec - Norymberga - Karlsruhe - Mulhausen - Lyon - Montpellier - Barcelona - Valencia - Murcia - Granada - Algiceras wyniosły 260 EU. Bilet otwarty /wszyscy przewoźnicy na tej trasie, bilet powrotny ważny rok/ na prom z Algiceras do Ceuty to koszt 96 EU motocykl + 1 osoba.

Przed przejściem granicznym Ceuta/Maroko nie należy kupować jakichkolwiek oferowanych przez naganiaczy kwitów, które to rzekomo należy wypełnić przed odprawą /są nieważne/ gdyż te właściwe otrzymamy za darmo od pierwszego urzędnika na przejściu. Jeżeli nie znasz biegle arabskiego lub francuskiego to lepiej odprawę powierzyć "opiekunowi", z którym jednak najpierw należy ustalić całkowity koszt "pośrednictwa" /5

EU na osobę to max - nam udało się załatwić w tej cenie "kompleksową obsługę". Odprawa w obie strony jest banalnie prosta i szybka, ale kolejność uzyskiwania pieczęci na kwitku granicznym znana jest jedynie wtajemniczonym - z czegoś żyć trzeba.

Paliwo w Maroku jest chyba niezłe /motocykle nie strajkowały/ i ogólnie dostępne, jednak proponujemy tankować jak tylko jest okazja do pełna, gdyż kilka razy okazywało się, że na stacjach brak było w aktualnej ofercie benzyny /najpopularniejsze stacje to Afriquanes, Total a w większych ośrodkach Stell/. Pamiętajcie, apetyt naszych motorków na paliwo przy ekstremalnych temperaturach i niejednokrotnie bardzo ciężkich warunkach terenowych potrafi być nieprzewidywalny.

Woda na pustyni czy w bezwodnych marokańskich górach to przedmiot istnego pożądanego, każdy, kto wybiera się poza asfalty powinien mieć minimum 5 litrów w kanistrze i jedną butelkę 1,5 l. pod ręką. Asfalty na głównych szlakach w Maroku czy Saharze Zachodniej są bardzo przyzwoite i pewnie mile wielu z Was zaskoczą. Poruszanie się poza głównymi szlakami jest najprzyjemniejszym elementem takiego wyjazdu jednak ze względów bezpieczeństwa nie wyobrażam sobie "skoków w bok" bez GPS-a i wcześniej naniesionych waypointów /droga potrafi nagle zniknąć, rozdzielić się czy też zmienić w koryto wyschniętej rzeki/.

Płatność kartami jest "średnio" spopularyzowana, więc bezpieczniej będzie dokonać wymiany pieniędzy w jakimkolwiek banku oferującym tego typu usługę /kurs w bankach na wrzesień 2006 wynosił 1EU=10,8 DH zaś przy wymianie w hotelu, restauracji czy na stacji benzynowej przelicznik był nieznacznie gorszy, gdyż za 1EU oferowano nam od 10,0 do 10,5 DH/. Polecamy przewodnik Pascala, który zawiera sporo przydatnych i w miarę aktualnych informacji /nie należy sugerować się podanymi w nim cenami, które często są w rzeczywistości wyższe, choć i tak atrakcyjne w porównaniu z tymi obowiązującymi w Europie/.

Składamy szczególne podziękowania za okazaną pomoc i wsparcie w realizacji wyprawy dla Zarządu LOTOS Jasło S.A.